

CZŁOWIEK DO WYNAJĘCIA

Z ANNĄ DYMNA rozmawia ALICJA JAWORSKA

665

- Ma pani za sobą 25 lat kariery aktorskiej. Czy pamięta pani, jak to się zaczęło?

- Chciałam studiować psychologię, ponieważ zawsze się zastanawiałam, dlaczego ludzie w takich samych sytuacjach różnie się zachowują. Ale w mojej kamienicy mieszkał emerytowany aktor Jan Niwiński. Jako dziecko chodziłam do teatryku, który prowadził. Kiedy się dowiedział, że chce zdawać na psychologię, złapał mnie na korytarzu i powiedział: „Ty gówniario jedna, nie po to z tobą tyle lat pracowałem!” No i zdałam do szkoły teatralnej. Nie miałam jeszcze siedemnastu lat, wyglądałam na czternastkę. Wyglądałam jak dziecko, a takie dzieci są potrzebne i w filmie, i w telewizji, i w teatrze. Na pierwszym roku zagrałam w „Weselu” Isię i Chochoła. Podczas studiów zrobiłam dziesięć filmów. W ten sposób, nigdy nie podejmując takiej decyzji, stałam się aktorką. A po czasie zorientowałam się, że niczego innego nie chcę robić. Moje marzenia się spełniły, ponieważ jeśli się ten zawód traktuje poważnie, trzeba być dobrym psychologiem.

- Jak udało się pani pogodzić macierzyństwo z pracą?

- Przed wojną aktorka właściwie nie mogła mieć dzieci. Kiedy zachodziła w ciążę - wyrzucano ją z teatru. Chyba że była żoną dyrektora. Aktorstwo wymaga nieprawdopodobnego poświęcenia. Kiedy pracuję, nie ma mnie dzień i noc w domu. Wiele aktorek mówi: „Na dziecko jeszcze za wcześnie, najpierw zrobię karierę.” Mija trzydziestka, trzydzieści pięć... potem jest za późno. Kariera nie przychodzi, albo rozbłyśnie

na chwilę - i zostają samotne, zgorzkniałe kobiety. Ja zaryzykowałam. Kiedy urodziłam syna, przytyłam 32 kilo, myślałam, że już nie wrócę na ekran, wstydziłam się. Potem to wszystko przelamałam, trochę schudłam i nauczyłam się spokoju. Aktorstwo to tylko zawód.

- Ma pani 43 lata. To wiek, w którym można pokusić się o pewien bilans życiowy. Czy jest pani szczęśliwa?

- To nie jest żaden bilans. Jestem bardzo szczęśliwa. Nauczyłam się tego. Kiedy byłam młodzieńką, zgrabniutką, zdrową, w ogóle nie wiedziałam, że jestem szczęśliwa. Potem przeżyłam różne chwile, bardzo dramatyczne, miałam wypadki samochodowe, leżałam w szpitalach... był taki moment, kiedy straciłam wszystko i nauczyłam się cieszyć rzeczami drobnymi: tym, że mam dwie ręce i dwie nogi. To jest wielkie szczęście, bo mogłam ich nie mieć. Jestem szczęśliwa, bo jestem potrzebna. Mogę być jeszcze potrzebna rok, dwa lata... Każda moja rola może być ostatnią, bo to nie od nas, aktorów, zależy. My jesteśmy tylko do wynajęcia. To okrutny i niewdzięczny zawód. W każdej chwili może człowiekowi powiedzieć: jesteś już niepotrzebny.

- Marysię Wilczurównę ze „Znachora” od „Antygony w Nowym Jorku” czy Katarzynę w filmie „Tylko strach” dzieli prawdziwa przepaść. Jak widzowie reagują, kiedy gra pani kobiety złe, zdemoralizowane?

- Zawsze grałam umierające, nieszczęśliwe, niewinne i naiwne. Wreszcie sobie myślę: „Boże święty, czy ci ludzie we mnie

nic więcej nie widzą?” W tej chwili nie odczuwam już groźby zaszukania. Antygona była rolą drastyczną. Ale to jest sztuka o bardzo pięknych

Dostaję listy od publiczności: „Aniu, słoneczko, ty nie możesz grać takich ról”. W filmie „Tylko strach” gram obrzydliwą alkoholikę, kobietę ogarniętą



Fot. Wł. Morawski

ludziach, o ludziach wolnych. Tak Kazimierz Kutz to reżyserował. A postać, którą grałam, jest kobietą, która żyje tylko wtedy, gdy kocha. Ona walczyła o miłość i godność człowieka.

straszliwą, nieuleczalną chorobą. Chodziło o to, aby pokazać, że nawet ludzi dobrych, inteligentnych, szlachetnych może ta choroba dotknąć.

- Z której swojej roli jest pani najbardziej zadowolona?

- Kiedy robimy film, a potem go oglądamy, zawsze wydaje nam się, że mogliśmy zagrać lepiej. Aktor nigdy nie jest do końca zadowolony z roli. Czy mogę być zadowolona z tych ról, które najbardziej się podobały publiczności? Nie, bo z publicznością to jest tak, że jednemu się podoba, a drugi mówi, że to jest okropne. Jak grałam Barbarę Radziwiłłównę, to dokładnie pięćdziesiąt procent ludzi mówiło: „Ach, jak pięknie gra! To jest Barbara, właśnie tak ją sobie wyobrażałem”,

a drugie pięćdziesiąt procent mówiło: „Co ta krowa robi na tym ekranie?” Takie reakcje są normalne. Kiedy grałam w „Znachorze” Marysię, równocześnie robiłam film Konwického „Dolina Issy”. Grałam tam Magdalенę. To był artystyczny film, ta rola była dla mnie wielkim przeżyciem. Natomiast „Znachor”, jak napisał Kałużyński, to było mówienie lukrowane i film dla kucharek. Ale „Znachor” przyniósł mi wielką popularność, a „Dolina Issy”... w Krakowie na pokazie połowa ludzi wyszła z kina i za ledwie parę osób oglądało ten film.

- Czy po tylu latach pracy odczuwa pani jeszcze treść?

- Kiedy się zbliża premiera w teatrze, chodzę ulicami i powtarzam tekst... żyję w napięciu, mam utrudniony kontakt z domownikami. Moje dziecko mówi do mnie sto razy, a ja nie słyszę. Nie śpię, nie jem. Trzęsą mi się ręce i nogi. Siku mi się co chwila chce, bo mam nerwicę pęcherza. Słabo mi się robi i ziewam na dodatek, bo mam nerwicę układu krwionośnego. Ale taki zespół tremy musi występować. Tak jest tylko przed premierą.

- Co pani planuje na najbliższą przyszłość?

- Niestety, świat jest tak okrutny, że ja nic nie mogę planować. Jestem człowiekiem na zawołanie. Pani Dymna albo jeszcze coś zagra, albo nie zagra. Teraz grałam w filmie „Pestka” Krystyny Jandy. Grałam tam żonę Daniela Olbrychskiego. To niezbyt duża rola, ale cieszyłam się, bo wreszcie się z nimi po wielu latach spotkałam. Skończyłam już zdjęcia, mam jeszcze jakieś dokrętki. Dostałam propozycję zagrać w pewnym filmie, ale nie wiem, czy uda mi się to pogodzić z pracą w teatrze. Jeszcze parę lat może pogram. Ale ja nic nie planuję. To za mnie planują.

- Czy konkurencja w tym zawodzie jest bardzo ostra?

- Ja się nigdy w życiu o nic nie biję. Jeżeli moja koleżanka ma dużą rolę, a ja małą, to się cieszę, że ona ma dużą. Nie ma we mnie żadnej zazdrości. Ja niczego nie muszę mieć. Ja poczekam, mam czas.